

OCEAN  
STRACONYCH  
NADZIEI



ZUZANNA WÓLCZYŃSKA

OCEAN  
STRĄCONYCH  
NADZIEI

FOLLY BEACH #1



Copyright © 2024 by Zuzanna Wólczyńska

Redakcja: Julia Diduch-Stachura

Korekta: Renata Kuk

Skład, łamanie i projekt layoutu: Cyprian Zadrożny

Ilustracja wykorzystana w środku książki:

© Christos Georghiou/Adobe Stock

Projekt okładki i stron tytułowych: Anna Jamróż

Fotografia autorki: archiwum prywatne

Wydawczyni: Natalia Sikora

Redaktorka prowadząca: Anna Salwa

Koordynatorka produkcji: Anna Pawłowicz

Promotorki: Agnieszka Słowik, Aleksandra Sękowska

Copyright for the Polish edition © 2024 by Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

Wyrażamy zgodę na wykorzystanie okładki w Internecie.

ISBN 978-83-8266-491-1

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2024

Adres do korespondencji:

Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

ul. Ludwika Mierosławskiego 11a

01-527 Warszawa

[www.wydawnictwo-jaguar.pl](http://www.wydawnictwo-jaguar.pl)

[instagram.com/wydawnictwojaguar](https://www.instagram.com/wydawnictwojaguar)

[facebook.com/wydawnictwojaguar](https://www.facebook.com/wydawnictwojaguar)

[tiktok.com/@wydawnictwojaguar](https://www.tiktok.com/@wydawnictwojaguar)

Druk i oprawa: ABEDIK

Wydrukowano na papierze Creamy 60,

dostarczonym przez **ZING** S.A.

## Ostrzeżenie!

W książce pojawiają się takie tematy jak morderstwo oraz przemoc psychiczna. Jeśli jesteś osobą o wysokiej wrażliwości, zastanów się, czy czytanie tej historii będzie dla Ciebie odpowiednie.



## Nota od autorki:

Folly Beach – miasteczko w Stanach Zjednoczonych, w stanie Karolina Południowa – istnieje naprawdę i stało się tłem dla historii Cassie i Caleba. Na potrzeby fabuły zostało jednak odpowiednio zmodyfikowane. Dajcie znać, gdyby kiedyś udało Wam się tam dotrzeć!



Tym, którzy kiedykolwiek tonęli w odmętach oceanu.  
Mam nadzieję, że historia Caleba i Cassie  
stanie się Waszą bezpieczną przystanią.





# PROLOG

Caleb

3 LATA WCZEŚNIEJ

Przed naszym domem leżą zwłoki. Jeszcze kilka godzin temu parszywa twarz Matthiasa Harringtona uśmiechała się do mnie znad butelki miodowego piwa, a teraz zastygła w kompletnym bezruchu. Nie drga mu nawet powieka. Kąćki ust wykrzywione są w delikatnym grymasie, potęgując wrażenie zgrozy.

Matthias Harrington nie żyje.

Najlepszy przyjaciel mojego ojca leży martwy w naszym ogrodzie.

Zginam się wpół, a zawartość mojego żołądka ląduje na trawie. Nie przestaję wymiotować nawet wtedy, gdy jestem pewny, że nic w nim już nie zostało. Gardło pali mnie od tar-gających mną torsji, a kwaśny odór drażni w nos.

Matthias Harrington został zamordowany.

Kiedy patrzę na jego bezwładnie leżące na ziemi ciało, jestem pewny, że ten obraz wyryje mi się w głowie na zawsze. Wszędzie widzę zaschnięte, ciemnoczerwone plamy pokrywające podkoszulek Matthiasa, jego szyję, zgniłą od zwłok trawę... Nie mogę przestać gapić się na poderżnięte gardło, które jednocześnie napawa mnie wstrętem i chorobą fascynacją. W tym widoku jest coś takiego, że chociaż wzbudza on

we mnie obrzydzenie oraz strach, czuję silną potrzebę, aby dokładnie mu się przyjrzeć. Jakby ktoś mnie zahipnotyzował, a ja nie mogę odejść, dopóki nie przestudiuję każdego najdrobniejszego zadrapania na jego sztywnych dłoniach. Na gardle widnieje parę cięć, co może sugerować, że morderca podjął kilka nieudolnych prób zabicia swojej ofiary, zanim zadał jej ostateczny cios. Rany na twarzy Matthiasa świadczą o tym, że spodziewał się zagrożenia i próbował się bronić. Jednak finalnie nie ma to i tak żadnego znaczenia, ponieważ poniósł straszliwą klęskę i nigdy już nie wstanie z ziemi, na którą upadł.

Kilka godzin temu siedzieliśmy przy jednym stole, oglądając baseball. Teksas wygrał z Florydą w imponującym stylu, nie pozostawiając żadnych wątpliwości, kto jest prawdziwym królem boiska. W gramofonie kręciła się ulubiona płyta ojca z piosenką *Should I Stay or Should I Go*, a w powietrzu unosił zapach znad oceanu: rześki i odrobinę słonawy.

Teraz ja stoję na dworze, słońce uparczywie grzeje mnie w kark, a pot skapuje na ziemię, niemal zmuszając mnie do wskoczenia prosto w żelazne sidła Atlantyku. Natomiast Matthias Harrington jest już tylko trupem. Bezużyteczną skorupą pozbawioną życia, która nigdy nie wydusi z siebie żadnego słowa.

Kiedy to do mnie dociera, chcę uciec od niego jak najdalej. Tylko że później dzieje się coś strasznego... Później okazuje się, że jego mordercą jest mój ojciec, a przed tym nigdy nie zdołam się ukryć.



28 lipca 2020 r.

*Matthias Harrington nie żyje. Próbował się bronić, kiedy ostrze pierwszy raz dotknęło skóry na jego szyi, ale w rzeczywistości*

*okazał się zbyt słaby, aby całkowicie mi się sprzeciwić. Wystarczyły trzy cięcia, żeby nóż wszedł odpowiednio głęboko w ciało, a krew pociekła na trawę, która w kilka sekund zmieniła swój kolor. Jego śmierć była prosta, niesatysfakcjonująca. Podał się szybciej, niż należało.*

*Wydaje mi się, że nie miał odpowiedniej motywacji, aby pozostać na tym świecie. Na dodatek chyba już dawno przewidział swój koniec. Od paru dni czekał, aż go stąd zabiorę. Może sam pragnął umrzeć, ale brakowało mu odwagi, aby do tego doprowadzić? Nie wiem. Zresztą to bez znaczenia. Odszedł i nie będzie już sprawiał problemów. Był zbyt ciekawski. Wkurzał mnie. Mógł wszystko zepsuć.*

*Na szczęście teraz leży zakopany głęboko pod ziemią.*

# ROZDZIAŁ 1

## Caleb

Fale są dzisiaj wyśmienite. Deska zgrabnie prześlizguje się po wodzie, a moje serce bije w spokojnym rytmie. Równowaga. Błogość. Cisza. Tylko ja i ocean. Ja, ocean i zmięta kartka wciśnięta w leżące na brzegu spodenki.

Surfuję zawsze, gdy muszę oczyścić głowę. Pomyśleć. Zastanowić się. Oderwać od rzeczywistości. Surfuję w każdej wolnej minucie mojego życia. To druga rzecz, którą opanowałem do perfekcji. Pierwszą było znikanie. Znikam za każdym razem, gdy zbliżają się kłopoty. Jestem szybszy niż cień, bo kiedy zaczynają palić mi się gacie, tylko ukrycie się w krzakach może mnie uratować.

W końcu jestem synem mordercy.

Folly Beach nigdy nie było na to gotowe. W tej małej miejscowości mieszkają zaledwie dwa tysiące ludzi. Wszyscy się tu znają, każdy śledzi krok drugiego, a ja stwarzam zagrożenie. Burzę ich spokój. Niszczę marzenia o sielskim obrazku. Jestem inny, bo w moich żyłach płynie krew Jacka Raekena. Człowieka, który zabił swojego najlepszego przyjaciela.

Nie dziwię się żadnemu z tych gnojków. Gdybym to ja był na ich miejscu, też bym za sobą nie przepadał. Nikt nie lubi zbirów szwendających się po ulicach Folly Beach. To spokojne miejsce. Takie, do którego ludzie przyjeżdżają na weekend,



aby odpocząć od zgiełku wielkich miast. Rezerwują pokoje w hotelach przy plaży, z najlepszymi widokami na ocean, a potem zostawiają kupę forsy w przydrożnych knajpkach. Zajadają się homarami, piją wyszukane koktajle i moczą dupską w Atlantyku. Potem wychodzą z niego pomarszczeni jak staruszki, ale nikt nie może odebrać im czasu spędzonego w tym miejscu.

Na wyspie wszyscy są szczęśliwi. To utopia. Miasto marzeń. Bezpieczna przystań. Taka, w której jedynym zagrożeniem są rozsiewane na prawo i lewo plotki. Gdzie nikt nie morduje. Nikt oprócz mojego ojca, ale on gnije w więzieniu już trzy lata, a marzeniem mieszkańców jest, abym kiedyś do niego dołączył. Na szczęście nie jestem dzinnem spełniającym ich życzenia. Jestem nieodłącznym elementem oceanu, którego nie interesuje szemranie rozwścieczonych ludzi.

Zaczესuję do tyłu mokre włosy, po czym schylam się po deskę. Woda stawia opór, kiedy próbuję wydostać się na brzeg. *Tak, ja również nie mam ochoty cię opuszczać.* Słońce nadal dumnie pręży się na niebie, a fale rozmywają się na piasku. Wciąż panują idealne warunki do surfowania, ale mam coś do zrobienia. Sklep z winylami zamykają o piątej, a ja muszę do niego zdążyć, zanim Gavin zatrześnie wrota.

Zgarniam oblepione piaskiem spodniki, a potem ruszam w kierunku molo. Ładuję się w wysoką trawę, uciekając przed wścibskim wzrokiem ludzi, i szybko przebieram się w suche ubrania. W drodze do sklepu zahaczam o moją tajną skrytkę pod tarasem jednej z restauracji. Tam zostawiam deskę i piankę, które dzisiaj mi się już nie przydadzą. Zamierzam wrócić po nie wieczorem.

Jest mi gorąco. Mimo że wciąż ociekam kropelkami wody po surfowaniu, i tak czuję buchający z asfaltu żar. Koszulkę

zawiązałem na głowie tak, aby chroniła mnie przed słońcem, ale nie przynosi mi ona zbyt wielkiego ukojenia. Dzisiaj wyjątkowo mocno reaguję na wysoką temperaturę. Podejrzewam, że to za sprawą schowanej w spodenkach wiadomości, która od rana jest moją obsesją. Zatapiam dłoń w kieszeni, aby poczuć pod palcami szorstką fakturę kartki, i wcale nie muszę jej czytać, aby w głowie mignęły mi zawarte na niej słowa:

*Sklep z winylami, 1968.*

Ktokolwiek mi ją podrzucił, wiedział, że dostanę świra na jej punkcie.

Nie idę głównym deptakiem miasta. Wolę unikać tłumów, które w tak słoneczny dzień jak dzisiaj, wynurzają się ze swoich jam dużo bardziej ochoczo niż zazwyczaj. Przemykam pomiędzy budynkami, co jakiś czas chowając się w cieniu dachów, które przynoszą mi ulgę. Z głównej ulicy docierają do mnie odgłosy ludzi zajadających się zatrważającą ilością gofrów, a do nosa dolatuje słodki zapach cukru. To tylko przypomina mi, jak bardzo jestem głodny. Ignoruję jednak irytujące burczenie w brzuchu, czmychając pod jedną z przydrożnych palm. Sprawnie lawiruję pomiędzy spoconymi ciałami, uważając, aby nie dotknąć ich nawet koniuszkiem palca, aż w końcu docieram do kiosku.

Przy straganie krząta się kilka osób, co daje mi świetną okazję, aby niespostrzeżenie wyjąć gazetę ze stojącego na chodniku stojaka i jak najszybciej wznović wędrówkę do sklepu. Wszyscy są zbyt zaaferowani sobą, aby dostrzec tak drobną kradzież. Mieszkańcy wyspy często chodzą z głową w chmurach, dlatego nie stanowią dla mnie trudnego celu. Łatwo ich zwieść. Turyści natomiast są zbyt oślepieni urokiem Folly Beach, aby



zarejestrować brak kilku dolarów, które w pewnym momencie zniknęły z ich kieszeni i już nigdy do nich nie wrócą.

Z nudów zerkam na gazetę z najświeższymi wiadomościami. W oczy od razu rzuca mi się ogromny nagłówek z aktualnie najgorętszym tematem w mieście:

### **Czy to koniec rządów Harringtonów? Wybory zbliżają się wielkimi krokami!**

Co za bzdury. Jeśli Harringtonowie spadną ze stołka, zupełnie nic to nie zmieni. Ich miejsce zajmie kolejny bogaty dupek, który najpierw podwoi swój majątek, a potem łaskawie postawi fontannę w centrum miasta, żeby podtrzymać skrupulatnie wykreowany wizerunek zatroskanego burmistrza Folly Beach. Wybory to tylko kwestia dopięcia formalności i zachowania odpowiednich pozorów. Nie za bardzo mnie one interesują.

Składam gazetę, po czym umieszczam ją za paskiem spodnek w taki sposób, że jej część dotyka mojego nagiego brzucha, a ja mam wolne ręce. Unoszę wzrok na szyld z prostym napisem „Sklep z winylami” i wchodzę do budynku, uruchamiając wiszący nad drzwiami dzwonek. Przed Gavinem trochę trudniej się ukryć niż przed pozostałymi. Nie mówię, że to niemożliwe. Muszę jednak postarać się odrobinę bardziej niż zwykle, aby umknąć przed jego wścibskim, czujnym okiem.

- Caleb Raeken... – wita mnie chropowaty głos zza lady.
- Gavin McCortney – odpowiadam w taki sam sposób.

W środku pachnie jak zawsze. Trochę kurzem, trochę wilgocią, ale przede wszystkim muzyką z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Stare płyty winylowe mają specyficzny zapach.

– Przyszedłeś narozrabiać? – pyta, kiedy wchodzę w głąb sklepu.

Stojący na blacie wiatrak leniwie rozgląda się po pomieszczeniu. Chwilę później dociera do mnie przyjemny, chłodny podmuch wiatru, a moje ciało drży od nagłej rozkoszy.

– Przyszedłem zjednoczyć się z Tiną Turner – mruczę, skupiając wzrok na poszczególnych alejkach.

– Jest dla ciebie za stara.

– Lubię dojrzałe kobiety.

– W innym życiu mogłaby ci zmieniać pampersa – odpowiada zgryźliwym tonem, który tak mocno do niego przyłgnał, że Gavin chyba nie umie już nawet mówić w inny sposób.

– Oddałbym duszę za to, aby królowa rocka chciała ściągnąć mi gatki.

W sklepie jest pusto jak zazwyczaj o tej godzinie. To niedobrze. Będę musiał się mocno postarać, aby zrzędlivy Gavin wepchnął nos w coś innego niż moje dupsko.

– Twoja dusza już od dawna smaży się w piekle, Raeken.

– Ona tylko dotrzymuje towarzystwa twojej.

1976, 1980, 1984... *Tutaj jesteś.*

Wyciągam z półki album *Private Dancer*, ostrożnie przesuważąc palcami po zniszczonej okładce. Moje serce krwawi na ten widok, ale zawzięcie utrzymuję na twarzy tę samą minę – chłodną obojętność.

– Chcesz mi coś zasugerować? – pyta dupek-Gavin, uważnie śledząc wzrokiem moje wszystkie poczynania.

– Tylko jeśli potrafisz tańczyć. – Błyskam perfidnym uśmiechem, który ma go jeszcze bardziej rozdrażnić, a potem ruszam razem z płytą na drugą stronę sklepu. Winyle z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego, do których chcę dotrzeć, znajdują się na półkach naprzeciwko lady, ale to na tyłach stoją





dwa gramofony. Kroczek po kroczk... Przy McCortneyu nie należy się śpieszyć.

– Sprawdzimy? – rzucam zaczepnie, jednocześnie prosząc w głowie wszystkich bogów muzyki, aby wybaczyli mi to, co zamierzam zrobić.

– Jeden niewłaściwy ruch, Raeken...

– Przestań, bo pomyślę, że mnie obrażasz.

Wysuwam płytę z papierowego opakowania, delektując się świstem włączanego gramofonu. Umieszczam ją w odpowiednim miejscu, unoszę igłę, ale zanim całkowicie ją opuszczam, wcześniej zahaczam o nią kciukiem. Ostra końcówka kłuje mnie w opuszek. *Jezu, przepraszam was, wszyscy święci.* Delikatnie zakrzywiam igłę, a potem kładę ją na płycie.

– Niech Tina Turner rozrusza twoje zardzewiałe biodra, brachu – mówię wesoło, oddalając się od gramofonu.

W sklepie zaczynają rozbrzmiewać pierwsze dźwięki *I Might Have Been Queen*. Czuję paskudne wyrzuty sumienia, że właśnie sprofanowałem ulubioną muzykę jedenastoletniego Caleba Raekena. Obiecuję sobie jednak, że z tego powodu wybuduję im w domu ołtarzyk: królowej Turner i smarkaczowi, którym byłem jeszcze osiem lat temu. W ramach rekompensaty za zakrzywienie igły.

Gavin ściąga krzaczaste brwi, kiedy dociera do niego nieprzyjemne skrzypienie.

– Coś ty narobił, dzieciaku? – rzuca chmurnie, wychodząc zza lady.

– Oskarżasz mnie o zniszczenie ulubionego gramofonu mojego ojca?

Mieli coś jeszcze pod nosem, ale już go nie słucham. *Sklep z winylami, 1968.* Kartka, album, 1968... Kartka, album, 1968... Kartka, album, 1968...

Im bliżej rozwiązania zagadki jestem – a przynajmniej odkrycia kolejnego tropu, który doprowadzi mnie do odpowiedzi – tym bardziej się ekscytuję. To chyba kwestia zaintrygowania. Ktoś wznicił we mnie ogień i nie spocznę, dopóki nie sprawię, że będzie on płonął jeszcze mocniej. Tak to już ze mną jest. Kiedy coś sobie postanowię, nie spocznę, dopóki tego nie zrealizuję. Pytanie brzmi – jak dobrze zna mnie nadawca wiadomości, by zdawać sobie z tego sprawę? A może karteczka trafiła do mnie przypadkowo, a ja zafiksowałem się na jej punkcie i niepotrzebnie doszukuję się w tym wszystkim głębi? Nie wiem, ale chętnie sprawdzę wszystkie warianty, aż znajdę ten prawidłowy.

Kucam przed regałem z muzyką z lat sześćdziesiątych, a krew uderza mi do głowy. To zapewne niezdrowe, aż tak się ekscytować, ale przecież i tak muszę na coś umrzeć. Nie pogniewam się, jeśli zejść z tego świata na środku sklepu z winylami.

Nawet nie wiem, czego szukam. Jestem przekonany, że w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym powstało kilka niezłych kawałków, więc wskazanie odpowiedniego albumu z tego roku to coś podobnego do znalezienia igły w stogu siana. Możliwe do zrobienia, ale niesamowicie trudne. No chyba że ktoś zechce ci przy tym odrobinę pomóc.

– Naprawisz to? – pytam, nie wychylając się zza regału.

Moje ręce szybko prześlizgują się po winylach, szukając czegoś, co w jakikolwiek sposób będzie wyróżniać się spośród reszty.

Gavin znowu burczy coś, co postanawiam uznać za „tak”.

*Gdzie jesteś, ty mała, przebiegła płyto?*

– Mam nadzieję, bo przyszedłem tu posłuchać Tiny, a nie twojego parszywego stękania.



Wszystkie wyglądają tak samo. Żadna nie krzyczy mojego imienia w prośbie, abym zabrał ją ze sobą do domu. Zaczynam się irytować, przez co drży mi prawa powieka – tik na tle nerwowym, który pozostał mi z dawnych lat. Mój stan dodatkowo pogarsza widok zniszczonych albumów. Ten śmierdziel Gavin o nie w ogóle nie dba.

*No dalej... Pokaż się.*

– Stul dziób, Raeken – burczy ostrzegawczo. – Wkurzasz mnie.

– Wkurzam osiemdziesiąt procent mieszkańców Folly Beach. Dlaczego uważasz, że przejmę się akurat opinią właściciela sklepu z winylami?

W pozycji, w której się znajduję, cierpną mi nogi, dlatego opadam na kolana, kontynuując przeszukiwanie półek. Na roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym nie znalazłem nic, co mogłaby wskazywać kartka znajdująca się w moich spodenkach. Dla pewności przepatruję sekcję drugi raz, a potem przechodzę dalej. Kolejne półki okazują się jednak jeszcze większym rozczarowaniem.

Po pomrukiwaniu Gavina orientuję się, że zostały mi jakieś dwie minuty, zanim rozprawi się z gramofonem i wróci za ladę. Szybko podejmuję decyzję, aby ponownie sprawdzić rok tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty ósmy. Czasami z nadmiaru emocji robię się nieuważny.

Tym razem płyta po płycie, dokładnie przeglądam każdy album, aż w końcu dostrzegam niewielkie światełko w tunelu. *Nareszcie.* Zielono-czerwony karton przykleił się do albumu Arethy Franklin, przez co początkowo wziąłem go za jeden.

– Cześć, małeńka – rzucam cicho, z uwielbieniem wpatrując się w znalezisko.

W środku znajduje się płyta winylowa – dokładnie tak, jak w przypadku pozostałych albumów na półce, ale coś sugeruje mi, że to ten konkretny, który cierpliwie czekał, aż go stąd zabiorę. Jest dwukolorowy. Nie ma na sobie napisów z nazwą wykonawcy ani piosenek. To czysta, niepozorna karta, która w rzeczywistości skrywa w sobie mnóstwo tajemnic. A ja nie mogę się doczekać, aż będę mógł je wszystkie odkryć.

Kiedy w pełni dociera do mnie fakt, że znalazłem rzecz, po którą przyszedłem, moje ciało pokrywa gęsia skórka. Wyjmuję zmiętą gazetę z za paska, a potem chowam album pomiędzy jej szarymi stronami. To niezbyt subtelna kryjówka, ale na Gavina powinna wystarczyć.

– Nudzisz mnie, Gavin – oznajmiam wysokim, śpiewnym tonem, który potrafi wyprowadzić z równowagi nawet najbardziej spokojne jednostki. Dla ścisłości: McCortney i tak się do nich nie zalicza. – Chcę posłuchać Tyny.

– A ja chcę, żebyś stąd spadał.

– Nie podoba mi się twój kąśliwy ton – marudzę, wychodząc z za regału. – I chętnie posiedziałbym tu, dopóki nie zadzwoniłbyś po gliny, ale dzisiaj już i tak słońce dało mi się wystarczająco we znaki, więc nie chce mi się z tobą dodatkowo drażnić. Wpadnę innym razem. Nara.

Ruszam do drzwi, po drodze umyślnie zahaczając o stojak z niechlujnie poupychanymi plakatami. Ten z hukiem uderza o ziemię, a ja niemal kulę się w sobie. Demolowanie sklepu z winylami nie przynosi mi żadnej satysfakcji. Przeciwnie – czuję się tym cholernie rozdrażniony. Ale nie mam forsy, żeby zapłacić za album, który Gavin po starej znajomości wyceniłby mi na miliony. Poza tym wolałbym, żeby go nie widział. Jego wąskie, fałszywe usta rozpowiedziałyby o nim wszystkim na mieście, a tajna zagadka przestałaby być już taka tajna.



McCortney jak postrzelony rusza do stojaka i z godną pochwałą zapalczywością pada na kolana, a potem zaczyna zbierać porozrzucane po podłodze plakaty.

Odwracam się do niego plecami, robię trzy kroki i układam dłoń na chłodnej kłamce. Już nie mogę się doczekać, aż będę mógł lepiej przyjrzeć się mojej nowej płycie. Tylko najpierw, jak to zazwyczaj bywa, będę zmuszony stoczyć drażniącą walkę z wkurzającym dupkiem Gavinem, ponieważ nic nigdy nie może pójść zgodnie z planem. Oczywiście – nie narzekam, bo co by to było za życie, gdybym chociaż raz wyszedł z jakiejś sytuacji bez szwanku? Odpowiadam: gówniane i nudne. Lubię adrenalinę.

– Zatrzymaj się. – Dokładnie tak, jak się tego spodziewałem, w połowie drogi na zewnątrz słyszę głos McCortneya i niemal w tym samym czasie wykonuję jego polecenie. Muszę uważać, żeby nie rozwścieczyć cerbera. – I oddaj to, co przede mną ukrywasz.

Robię zdziwioną minę, teatralnie przykładając dłoń do piersi.

– Nie oddam ci mojej cnoty, Gavinie. Jest zbyt cenna, abym handlował nią jak pozbawiony zdrowego rozsądku dzieciak.

– To nie jest zabawne.

– Och, oczywiście, że nie jest. Mam dziewiętnaście lat i jestem prawiczkim. To poważny problem, a nie powód do śmiechu.

Wpatruje się we mnie świdrującym wzrokiem, a żyłka na jego szyi pulsuje tak mocno, że za chwilę wybuchnie, brudząc wszystkie znajdujące się w pobliżu albumy.

– Dzwonię na policję.

Mlaskam ostentacyjnie na jego słowa, ośmielając się nawet przewrócić oczami. Odrobina dramaturgii nikomu nie zaszkodzi.

– No i po co od razu tak się denerwować? – drażnię się z nim chyba tylko po to, by sprawdzić, jak dużo krwi wytryśnie z tak małego otworu.

– Raeken, nie mam czasu na twoje gierki.

– Domyślam się. Przecież jesteś bardzo zapracowanym człowiekiem, a czas to pieniądz, prawda?

– Niektórzy ludzie robią coś więcej prócz zbijania bąków. Zszokowany otwieram usta, jednocześnie walcząc z ogromną pokusą wybuchnięcia śmiechem. Gavin w ogóle nie trzyma ciśnienia.

– Zbijanie bąków też wymaga wysiłku – mówię, bo dokładnie tego się po mnie spodziewa.

– To idź je zbijać gdzie indziej, ale najpierw dawaj to, co zabrałeś.

– Nic nie zabrałem.

– Masz tak samo lepkie ręczki jak twój ojciec – oznajmia z wkurwiającym wyrazem twarzy. Nawet nie mrugam, chociaż wewnątrz wszystko we mnie wrze. – Pokazuj łapy, smarkaczu.

Zaciskam zęby tak mocno, że za chwilę je sobie połamię, ale z moich ust nie wymyka się nawet jedno zdradzieckie słowo.

– Punkt dla ciebie, McCortney – chwalę go, kiedy jestem już w zupełności pewny, że nie wybiję mu jedynek. Wyjmuję dłoń z kieszeni, nie spuszczaając z niego wzroku. – Powinni zatrudnić cię w FBI. Nic nie umknie twojemu czujnemu oku.

W lewej ręce nadal trzymam gazetę ze znajdującą się w środku płytą, a w prawej obracam dopiero co wyjętą z kieszeni harmonijkę. Zwinąłem ją z lady w drodze do wyjścia. Nie wiem, czy kiedykolwiek odważyłbym się na niej zagrać, mając świadomość, że dotykały jej obleśne wargi Gavina, ale i tak chciałem ją mieć.



– Oddawaj to, gnojku, i znikaj mi z oczu – warczy, z każdą sekundą coraz bardziej tracąc nad sobą kontrolę.

– Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem – odpowiadam, po czym rzucam mu harmonijkę. Obiecuję sobie, że jeszcze kiedyś po nią wrócę.

Uśmiecham się po raz ostatni i wychodzę na zewnątrz z albumem ukrytym pomiędzy stronami pełnymi kłamstw i plotek. McCortney jest zbyt zajęty zbieraniem swojej dumy z podłogi, aby poświęcić wystarczająco dużo uwagi płycie. Gdy stoję na dworze, wewnątrz mnie wszystko krzyczy, żebym wyprostował Gavinowi zgryz. Biorę jednak głęboki wdech ciepłego powietrza i wyznaczam priorytety. Na wszystko przyjdzie czas.

*Teraz nadeszła pora, bym sprawdził, jakie perelki kryje w sobie mój nowy album.*

# ROZDZIAŁ 2

## Cassie

To nie jest moja deska.

*Cholera, cholera, cholera.*

Moja jest błękitna, a ta ma odcień baby blue.

Przygryzam ze zdenerwowania wargę, klęcząc przed restauracją. Zostawiłam tu deskę tylko na sekundę, aby kupić brzoskwińowe smoothie, a po powrocie znalazłam to. Do tej pory nie widziałam, żeby ktoś jeszcze korzystał z mojej skrytki. Albo mijałam się z tajemniczym kolegą lub koleżanką, albo dzisiaj celowo podmieniono deski.

*Chyba oszaleję.*

Ze smoothie podchodzącym do gardła wygrzebuję deskę w kolorze baby blue, a piasek boleśnie wbija mi się w kolana. To nie tak, że nie lubię tego koloru. Nie jestem też wielką sentymentalistką. Ale tę konkretną deskę kupił mi dziadek i to jedyna rzecz, do której jestem bezgranicznie przywiązana. Nie przeżyję bez niej.

Stękam, siłując się z przysypaną piaskiem deską. Z nerwów upijam kolejny łyk zimnego smoothie, mimo że dopiero co o mało nim nie zwymiotowałam. Szukam jakiegokolwiek wskazówki, która podpowiedziałałaby mi, do kogo należy zguba. Odstawiam kubek, a potem przekręcam deskę na drugą stronę. *To może być cokolwiek, proszę.*





– Och – wymyka mi się, kiedy okazuje się, że moje modlitwy zostały tak szybko wysłuchane. Dotąd Bóg raczej omijał mnie szerokim łukiem.

Ta strona deski pokryta jest mnóstwem rysunków. Przy niektórych farba znacznie się rozmazała, inne zostały prawie całkowicie zmyte przez wodę i jedynie kilka pozostało w nienaruszonym stanie.

Tylko jedna osoba w Folly Beach traktuje każdą rzecz jak płótno. Caleb Raeken.

Wzdycham, a mój entuzjazm znacząco gaśnie. Jeśli początkowo założyłam, że szybko odzyskam moją zgubę, to nie mogłam się bardziej pomylić. Caleb lubi igrać z ludźmi. Nie boję się go jak połowa miasteczka, ale byłabym idiotką, gdybym sądziła, że uda nam się zaprzyjaźnić. Jest synem mordercy, a ja wnuczką burmistrza Folly Beach, który doprowadził do zamknięcia jego taty w więzieniu. Nienawidzi mnie pewnie tak mocno, że jeśli tylko przekroczę próg jego posesji, bez zastanowienia pożre mnie żywcem.

Prostuję się, przeklinając się w duchu tyle razy, że powoli zaczyna brakować mi epitetów na moje kretyńskie zachowanie. Oczywiście, że to zrobię. Rzucę się w paszczę lwa z żalosną nadzieją, że wyjdę z tego zdarzenia bez szwanku. Bo jestem na tyle głupia, że stawiam żywot deski surfingowej ponad własny.

Oglądam kilkanaście malutkich obrazków, które wywołują we mnie mieszane uczucia. Są wykonane z największą starannością, jednak najbardziej dziwi mnie ich dobór. Ogromne słońce, a wokół niego czaszka z wychodzącym z oczodołu robakiem, lizak w kształcie serca i kilka martwych kwiatków.

– Cześć, Cassie. – Słyszę nagle. – Jak leci?

Odwracam się, dostrzegając za plecami Nicolasa Petersona. Jego ojciec jest współnikiem taty – dzielą hotel we

wschodniej części miasta. Znamy się od zawsze, ale rzadko nadajemy na tych samych falach. Jako dzieci byliśmy często zmuszani do spędzania ze sobą czasu, gdy nasi ojcowie omawiali interesy, ale chyba żadne tak naprawdę się z tego nie cieszyło. Teraz zwykle widzimy się przypadkiem i czasami z grzeczności zdarza nam się zjeść wspólnie lunch. Poza tym łączy nas to, że mamy tych samych znajomych.

– Świetnie – odpowiadam lakonicznie, bo nie chce mi się z nim rozmawiać. Moją głowę zaprzętają myśli o zagubionej desce.

– Byłaś posurfować?

Pozwalam sobie otaksować wzrokiem jego sylwetkę oświetloną promieniami zachodzącego słońca. Z ciemnymi, rozwianymi włosami i koszulką podkreślającą muskularne ciało wygląda przystojnie.

Kiwam głową, a on bez skrępułów kontynuuje swoje przesłuchanie.

– Fale dopisały?

– Tak, dzisiaj było cudownie.

Nicolas mruczy potakująco, chociaż z tego, co się orientuję, sam nie przepada za surfingiem. Na dodatek nie wydaje się zrażony moimi powściągliwymi odpowiedziami. Nieustannie wlepia we mnie wzrok, jakby mógł przejrzeć mnie nim na wylot, i właśnie to wyprowadza mnie z równowagi najbardziej.

– Co się dzieje? – pytam, nawet nie próbując udawać, że czuję się komfortowo z jego przeszywającym spojrzeniem sunącym po moim ciele.

– Masz ochotę na smoothie?

Chrząkam, wstając z kucek.

– Już mam, ale dzięki.



– O – rzuca z głupią miną, jakby dopiero teraz zarejestrował kubek stojący na piasku. – Spoko.

Uśmiecham się krzywo, czekając, aż sobie pójdzie. Dzisiaj jeszcze bardziej niż zwykle Nicolas sprawia, że czuję się dziwnie w jego obecności. Cała nasza rozmowa jest niezręczna i marzę tylko o tym, żeby jak najszybciej dobiegła końca.

– No to może innym razem – mówi, a potem posyła mi swój firmowy uśmiech.

– Na pewno.

Zanim odchodzi, puszcza do mnie oczko, przez co jestem jeszcze bardziej zmieszana. Potrząsam głową, ale nie zastanawiam się nad tym zbyt długo. Im mniej analizuję, tym lepiej śpię, a obecnie mam ważniejsze kwestie do rozstrzygnięcia. Chociażby odzyskanie mojej zagubionej deski.



Caleb Raeken mieszka na uboczu. Nigdy nie byłam u niego w domu, bo ze sobą nie rozmawiamy. Urodził się dwa lata wcześniej niż ja i z tego powodu zawsze pozostawał dla mnie nieosiągalny. Teraz dodatkowo zachowuje się jak kot – chodzi własnymi ścieżkami, bo ludzie go unikają. A może to on unika ludzi? Trudno to jednoznacznie stwierdzić. Mimo wszystko wiem, gdzie się ukrywa. Każdy to wie, ponieważ nikt nie chciałby przypadkowo zawędrować pod dom, w którym popełniono morderstwo.

W najbardziej oddalonym od centrum miejscu tuż przy plaży stoi niewielki, niebieski domek. Aby dostać się do drzwi, muszę przejść po ziemi, na której trzy lata temu zmarł mój wuj. Chociaż po zbrodni nie ma już najmniejszego śladu, i tak dopada mnie to nieprzyjemne wrażenie, jakbym robiła coś niewłaściwego. Ludzie mówią, że Jack Raeken tamtego dnia wykazał

się ogromną brutalnością, a cała okolica spłynęła krwią. Ja tego nie widziałam. Do moich uszu słuchy o tym, co się wydarzyło, dotarły dopiero wtedy, gdy winnego zamknięto w więzieniu, a wuj spoczął w grobie. Byłam zbyt młoda, aby śledzić całe zdarzenie. A przynajmniej tak właśnie wszyscy myśleli.

To prawda, że nie widziałam zwłok wuja Matthiasa. Nigdy jednak nie zapomniałam o całej sprawie. Od początku wydawała mi się niepokojąca i dziwna. Jakby brakowało jakiegoś elementu układanki, który scaliłby wszystko w sensowną całość. Od tamtej pory przeczytałam każdy artykuł na temat popełnionej zbrodni i podsłuchałam kilkadziesiąt rozmów o tym, co się wydarzyło. Chciałam zrozumieć motywację mordercy. Dlaczego zabił swojego najlepszego przyjaciela? Musiał mieć ku temu jakiś powód, a ja bardzo pragnęłam go odkryć. Nigdy mi się to nie udało, ale wewnętrzny głos nie pozwala mi tak po prostu odpuścić. Bardzo dobrze znałam mojego wuja i wielokrotnie słyszałam, jak wypowiadał się o swoim przyjaciołu. Zawsze były to pozytywne słowa, które w obliczu zaistniałej tragedii zasiały we mnie ziarenko wątpliwości. Czy to na pewno Jack Raeken jest winny śmierci wuja?

Uważam, że w tej sprawie nie wszystko jest tak jasne, jak mogłoby się wydawać. A może tylko chcę w to wierzyć? Może idiotycznie szukam wytłumaczenia dla mordercy, bo w dzieciństwie Jack Raeken był dla mnie miły i raz nawet kupił mi lody?

Z duszą na ramieniu wchodzę po drewnianych schodkach, które skrzypią przy każdym najmniejszym ruchu. Na tarasie stoją dwa wyblakłe od słońca, plastikowe krzesła, które prawie strącam deską. Oprócz tego nie ma tu nic, co mogłoby przyciągać uwagę.

Odrzucam na plecy skołtunionie i wilgotne brązowe włosy, przygotowując się mentalnie na spotkanie z chłopakiem, który



od trzech lat pozostaje najbardziej przerażającą zagadką na wyspie. Biorę dwa oddechy i dopiero wtedy pukam w drzwi.

Cisza.

Próbuję jeszcze raz, następnie z zaciekawieniem rozglądam się wokół. Za moimi plecami majaczy Atlantyk, iskrząc pomarańczem i złotem. Słyszę odprężające chlupotanie wody i skrzeczenie przelatującej mi nad głową mewy. To miejsce jest kwintesencją spokoju. Dla takiej osoby jak Raeken musi być idealnym lokum.

– Vaiana.

Wzdrygam się na podszyty kpina głos, który niespodziewanie rozbrzmiewa tuż za moim uchem. Odrywam wzrok od oceanu i odwracam się z powrotem do drzwi.

Przedemną stoi chłopak, o którym krąży tak wiele historii, że przez jedną złudną chwilę wydaje mi się, że nie jest mi obcy.

Caleb opiera się o framugę, przybierając pozornie luzacką pozę. W rzeczywistości jednak jest czujny oraz nieufny. Poznając to po jego skupionych, zielonych tęczęwkach, które obserwują mnie z zaintrygowaniem, ale i dystansem.

– Cassie – poprawiam go, kiedy odzyskuję rezon. – Cassie Harrington.

– Wiem, kim jesteś, tak samo jak ty wiesz, kim jestem ja. – Po tonie jego głosu nie potrafię rozszyfrować towarzyszących mu emocji.

– Caleb Raeken – mówię, bo nie mogę znieść nawet chwili ciszy w jego obecności.

– We własnej osobie.

Wielokrotnie widziałam go na mieście. Kiedyś mijaliśmy się również w szkole, ale zawsze były to tylko krótkie, przypadkowe spotkania. Trudno jednak nie zwrócić uwagi na chłopaka, który tak bardzo wyróżnia się z tłumu.

Jego tatuaże są nieduże, każdy przedstawia odrębny obrazek, niepowiązany z żadnym innym. To zbiór przypadkowych rzeczy – od czapki z daszkiem poniżej lewego łokcia, po pajęczynę nad kolanem. Wszystkie jednak w jakiś pokręcony sposób idealnie ze sobą współgrają.

Kolor jego włosów kojarzy mi się z zimnym o poranku piaskiem rozsypanym na plaży, a grzywka wygląda, jakby dopiero co rozwał ją wiatr. Ma kolczyki w nosie i w uchu. A teraz dodatkowo nieumyślnie rozchylił pełne, różowe wargi, którym poświęcam zdecydowanie zbyt wiele uwagi.

Chrzążkam, przywołując się do porządku.

– Nie śpiesz się – mówi z przytykiem, bo doskonale zdaje sobie sprawę, że przed chwilą oceniłam każdy najmniejszy fragment jego ciała. – Vaiano – dodaje z naciskiem.

– Wolałabym, żebyś tak do mnie nie mówił.

– Za późno. Za bardzo mi się to podoba, żebym przestał.

– Podoba ci się nazywanie mnie imieniem księżniczki Disneya? – Nie prowokuję go specjalnie. Zaczepka w tonie mojego głosu pojawia się nieumyślnie.

– Podoba mi się wiele rzeczy – oznajmia nonszalancko, jakby wcale jej nie wyłapał. – Podoba mi się zachód słońca. – Wskazuje palcem na widok za moimi plecami, a ja na sekundę odwracam głowę. – Ale też to, jak dobrze wyglądasz na jego tle.

Prycham.

– Nie zawstydzisz mnie.

– To nie jest mój plan – odpowiada niewinnie, nie spuszczając ze mnie świdrującego wzroku.

Spodziewałam się, że rozmowa z nim będzie trudna. Wyobrażałam sobie, że Raeken przystawi mi nóż do gardła od razu po tym, jak odważę się zapukać do jego drzwi. W końcu



zawsze był zdystansowany i nieco tajemniczy. Nawet przed całą tą tragedią pozostawał na uboczu, daleko od znajomych ze szkoły. Okazuje się jednak, że jest dużo bardziej skomplikowany, niż zakładałam. Bezwstydnie ze mną flirtuje i nie robi tego po to, aby mnie poderwać. Po wnikliwym spojrzeniu, którym mnie obrzuca, odkąd tylko się pojawiłam, zgaduję, że potrafi odczytywać ludzi, a potem zgrabnie, według własnych potrzeb manipuluje ich emocjami.

– A więc jaki jest twój plan? – pytam, bo gdybym tego nie zrobiła, ciekawość zeżarłaby mnie od środka.

– Hm... – mruczy niskim głosem, który podoba mi się o wiele bardziej, niż można by to uznać za przyzwoite. – Naprawdę jesteś tego ciekawa?

– Zapytałam z grzeczności.

– Tak? W takim razie musisz być cholernie ułożoną dziewczynką, jeśli pytasz o plany syna mordercy. A może raczej powinienem powiedzieć „szaloną”? Tak, chyba „szaloną” pasuje tu o wiele bardziej. Co o tym myślisz?

– Myślę, że próbujesz mnie zaatakować i stłamsić, ale nie wiesz jeszcze, że nie wyrzecz na mnie takiego wrażenia, jakie chcesz.

Usta Caleba rozciągają się w prowokacyjnym geście, na który odpowiadam z takim samym zapałem.

– Co to za psychoanaliza, Vaiano? – rzuca, jeszcze swobodniej opierając się o framugę. Zaplata ręce na klatce piersiowej i krzyżuje kostki nóg. – No dobrze, powiem ci, ale tylko dlatego, że mam słabość do bajek Disneya... Moim planem jest wrócić do domu, rzucić się na kanapę i dokończyć pizzę z marketu, którą jadłem, zanim ktoś postanowił zakłócić mój spokój. A potem, jak poczuję, że to wciąż trochę za mało szaleństwa, może popiję wszystko colą? – Uduje, że się zastanawia. – Albo

sokiem pomarańczowym. Jeszcze nie zdecydowałem... Co ty na to? Podoba ci się ten plan tak samo, jak mnie?

Zanim zdążę zebrać myśli, Caleb przewraca oczami.

– To ty do mnie przyszedłeś, nie na odwrót – przypomina, a uśmiech całkowicie znika z jego twarzy. – O co chodzi?

Caleb Raeken jest dokładnie taki, jak go sobie wyobrażałam. Wygadany i pewny siebie. Na dodatek coś w jego zachowaniu przypomina mi lisa – coś, co wskazuje na wyrachowanie i cwaniactwo. Sposób bycia oraz styl, w jakim buduje zdania.

– Wziąłeś moją deskę – mówię krótko, bo nie mogę pozwolić mu się zbliżyć z tropu.

Raeken marszczy o ton ciemniejsze od włosów brwi, zerkając na deskę, którą trzymam. Szybko orientuje się, że nie kłamię.

– Korzystasz z mojej skrytki pod restauracją? – pyta zdziwiony. Albo tylko takiego udaje.

– Na to wygląda. Z jednym małym wyjątkiem. To moja skrytka – zaznaczam na wypadek, gdyby miał co do tego jakiejś wątpliwości.

– Jak sobie chcesz, Vaiano. – I znowu ten uśmiech. – Skoro jednak już zaszła ta okropna pomyłka, to może wymienimy się deskami na jakiś czas? No wiesz, tak na dobry początek naszej znajomości.

*A podobno to ja jestem szalona.*

– Nie – rzucam tylko.

Caleb krzywi się w fałszywym urażeniu, przechylając głowę na lewą stronę.

– Nie podobają ci się moje obrazki?

– Tego nie powiedziałam.

– Ale zasugerowałeś.

– Sam to sobie zasugerowałeś – mówię głośniej i dobitniej, niż chciałam.





– Więc co? Musi być jakiś powód, dla którego nie chcesz pożyczyć mi deski.

Mrużę oczy identycznie jak on. Pół dnia spędziłam w wodzie, jestem padnięta. A mimo to postanowiłam wdać się w dyskusję z Calebem Raekenem – osobą, która czerpie ogromną przyjemność ze słownych potyczek, bo wie, że każda z nich i tak zakończy się jego zwycięstwem.

– To nie twoja sprawa, Raeken – rzucam niskim głosem. – Oddawaj moją deskę.

– Vaiana ma pazurki. – Gwiżdże z uznaniem. – Po tacie czy po dziadku?

– Mogę zapytać o to samo, Pua.

*Zrobiłam to. Nazwałam go imieniem świni Vaiany i na dodatek przywołałam w tym samym zdaniu jego ojca. Jestem zdrowo popieprzona, jeśli myślałam, że na to nie zareaguje.*

Twarz Caleba pochmurnieje. Przesadziłam. Mimo że chwilę temu on sam przyznał, że jest synem mordercy, to właśnie ja przekroczyłam niewidzialną granicę, która powinna pozostać nienaruszona. Wiem to, jeszcze zanim Caleb zaciska palce na moim bicepsie, a potem popycha mnie na barierkę. Deska wysuwa mi się z ręki i upada na ziemię.

Drewno boleśnie wbija mi się w plecy, jednak obecnie to mój najmniejszy problem. Raeken pochyla się nade mną z żądzą mordu w oczach, a mnie przechodzi dreszcz. Zrzucam to na chłodne powietrze znad oceanu, choć prawda jest zupełnie inna. Caleb, jeśli tylko chce, potrafi być przerażający. Zmienia osobowość tak szybko, że aż trudno to zarejestrować. W jednej chwili przybiera postać czarującego chłopca, a w kolejnej osoby, której boją się wszyscy mieszkańcy Folly Beach.

– Uważaj, Cassandro. W końcu to w moich żyłach płynie krew mordercy.

Jestem świadoma, że prawdopodobnie powinnam jak najszybciej zabierać swój tyłek sprzed jego domu. Prawdopodobnie powinnam mieć odrobinę zdrowego rozsądku i dać sobie spokój z deską. Prawdopodobnie powinnam trzymać się od niego z daleka. Ale nie potrafię uwierzyć w to, że byłby w stanie naprawdę zrobić mi krzywdę. Nawet teraz, gdy trzymam mnie w stalowym uścisku, a jego palce pewnie zostawiają ślad na mojej skórze, wydaje mi się, że próbuje mnie tylko przestraszyć. A ja, choć bardzo nie chcę tego przyznać nawet przed samą sobą – jestem zafascynowana. Raeken jest pełen sprzeczności i nic nie mogę poradzić na to, że traktuję go jak kolejną zagadkę czekającą na rozwiązanie.

– Po prostu oddaj moją deskę – mówię pojednawczo, bo trochę obawiam się tego, dokąd doprowadzi nas ta dyskusja.

– Zrobię to... – zaczyna, a ja zbyt wcześnie w jego obecności oddycham z ulgą. – Ale nie dzisiaj.

– Jak to nie dzisiaj?

– Przyjdź jutro.

Moje emocje w obecności tego chłopaka zmieniają się jak w kalejdoskopie. W ciągu dwóch minut płynnie przeszłam od gniewu, przez wstyd, niepokój, aż po złość.

– Nie będę czekać do jutra – warczę, jakbym nie była zdana na jego łaskę.

Wzburzona odrywam plecy od barierki, próbując przedrzeć się przez jego ramiona. Jeśli nie chce oddać mi deski, to sama po nią pójde. Caleb jednak szybko odczytuje moje zamiary i nie pozwala mi uciec. Teraz jesteśmy tak blisko, że stykamy się japonkami. Muszę unieść głowę, bo przeważa nade mną wzrostem.

– Jutro – powtarza uparcie, a w jego głosie pobrzmiwa niewypowiedziana groźba.



Mierzymy się spojrzeniami, oboje tak samo poirytowani sobą nawzajem. Nie mam pojęcia, jak doszłam do tego momentu. W Folly Beach mieszkam od urodzenia i nigdy nie wydarzyło się nic, co skłoniłoby mnie do rozmowy z Calebem. Aż nagle zamieniliśmy się deskami i teraz stoję oko w oko z tym nieprzewidywalnym chłopakiem z mroczną historią. A najgorsze w tym wszystkim jest to, że nasza konfrontacja nie przeraża mnie aż tak bardzo, jak być może powinna.

– Nie ruszę się stąd, dopóki nie dostanę mojej deski z powrotem.

Z tak bliska czuję, że pachnie oceanem, gorącymi promieniami słońca i wilgocią. W powietrzu unosi się również delikatny zapach mydła. Ta mieszanka bardzo do niego pasuje.

– Takie zachowanie nie przystoi ani księżniczce Disneya, ani wnuczce burmistrza – zauważa z powracającym na wargi uśmiechem, który działa na mnie jak zapalnik.

Caleb robi to celowo. Bawi się moim gniewem. Wiem to, ale i tak daję się wciągnąć w jego grę.

– Ta księżniczka zaraz wepchnie ci swoją koronę w du...

– Ciii... – rzuca, zakrywając mi usta dłonią, przez co przepływam w pół słowa. – Twoje wargi są zbyt piękne, aby wygadały tak nieprzyzwoite rzeczy.

Przez równo dwie sekundy udaje mu się zachować powagę. Potem jednak po spokojnej dotąd okolicy roznosi się jego dźwięczny, perlisty śmiech.

– Słuchaj, Raeken – mówię, gwałtownie odsuwając twarz od jego dłoni, przez co prawie przelatuję przez barierkę. – Nie boję się ciebie tak jak pozostali mieszkańcy Folly Beach. Wkurzasz mnie i będzie lepiej, jeśli przestaniesz to robić.

– A jak nie, to co? – ośmiela się zapytać.

No właśnie... Co wtedy? Napuszam się, zerkając w bok. Gdzieś, gdzie nie natrafię na wyzywający wzrok Caleba.

Zauważam, że słońce wisi tak nisko nad horyzontem, że jeszcze chwila i świat zaleją cienie. Ten fakt nie poprawia mojego samopoczucia.

– Przyjdź jutro – powtarza po raz kolejny, a do mnie dociera, że nieważne, jak długo będę się z nim spierać, to i tak na nic.

– Dlaczego jutro? – wyrzucam, wracając do niego spojrzeniem. – Dlaczego nie możesz mi jej oddać dzisiaj?

– Bo chcę cię jeszcze kiedyś zobaczyć – odpowiada, jakby to była nasza kolejna przyjacielska rozmowa, a nie spotkanie, podczas którego pierwszy raz zmieniliśmy ze sobą więcej niż dwa zdania. Nie wierzę w żadne jego słowo. Jest zbyt dobry w tę grę, abym dała mu uśpić moją czujność, choćby na sekundę.

Parskam śmiechem, a on w końcu pozwala mi zwiększyć dystans między nami. Robi krok do tyłu.

– Daruj sobie, Raeken. Będzie prościej, jeśli od razu powiesz, o co ci chodzi.

– Przecież mówię. Dlaczego nie potrafisz zaakceptować faktu, że ktoś mógłby chcieć się z tobą zaprzyjaźnić?

Tylko cudem nie zapowietrzam się po jego wypowiedzi.

– Mam więcej przyjaciół od ciebie – mówię, a Caleb się śmieje.

– To nie jest żaden wyczyn, którym powinnaś się szcycić, Vaiano. Z reguły mordercy nie mają zbyt wielu przyjaciół.

– Nie jesteś mordercą.

Po tych słowach na twarz Caleba wpływa zaskoczenie. Ale oprócz tego zauważam na niej również rozbawienie i coś jeszcze... Coś, czego nie umiem ująć jednym słowem.



– Doprawdy? – rzuca, by jeszcze bardziej podkreślić to, co zaraz powie. – A może to ja zabiłem twojego wujka i wysłałem swojego ojca za kratki, bo był głównianym rodzicem?

Krzywię się z kilku różnych powodów. Po pierwsze, to okropne, co mówi. Po drugie, w jego głosie pobrzmiwa silniejszy gniew, niż się tego spodziewałam. A po trzecie... Nie wierzę, że to może być prawda.

– Przestań... Nie mówisz poważnie.

– Pewność w twoim głosie jest naprawdę imponująca. Może zechcesz mi wytłumaczyć, skąd się ona wzięła? – pyta, a kiedy nie dostaje odpowiedzi, szybko zmienia zdanie i dodaje: – Albo nie... To nam popsuje całą zabawę. Widzimy się jutro, Vaiano. Oczywiście, jeśli chcesz odzyskać swoją deskę.

– To szantaż.

– Nigdy nie powiedziałem, że nim nie jest – mówi, wzruszając ramionami.

Przez równe pięć sekund pozwalam sobie odwzajemnić jego długie spojrzenie. To walka o dominację i żadne z nas nie zamierza ulec. Toczymy niewypowiedzianą wojnę, a stawką w niej jest coś, czego nie odważyliśmy się wypowiedzieć na głos.

– Jeszcze nie wiem, w co pogrywasz, ale wiedz, że nie dam ci zwyciężyć – oznajmiam.

Nigdy dotąd nikt nie rzucił mi wyzwania, którego podjęłabym się bez chwili zawahania. Tym razem jednak czuję, że muszę coś udowodnić. Z jakiegoś powodu odnoszę wrażenie, że nie chodzi tu wyłącznie o deskę. Ona jest już tylko małym, niezbyt znaczącym elementem naszej rozgrywki.

Caleb robi krok do przodu i zbliża usta do mojego ucha. Nie dotyka mnie, ale i tak czuję na skórze jego ciepły oddech.

– Właśnie na to liczę – szepcze, a potem cierpliwie czeka, aż tym razem to ja się od niego odsunę.

Robię dokładnie to, czego oczekuje, zgarniam jego deskę z ziemi i bez słowa odwracam się w kierunku schodów. Wiem, że dzisiejsza rozmowa jest tylko początkiem naszej gry. W związku z tym mam mnóstwo czasu na zwycięstwo. Nie muszę się śpieszyć, bo wtedy zawsze robię się nieuważna. A do tego nigdy nie zamierzam dopuścić. Nie, gdy moim przeciwnikiem jest Caleb Raeken.

Zanim jednak udaje mi się zrobić choćby krok w kierunku schodów, długie, smukłe palce zaciskają się na moim nadgarstku. Roztargniona spoglądam na chłopaka.

– Uważaj na siebie – mówi miękko, po czym zabiera dłoń, jakby się oparzył.

– Zawsze na siebie uważam.

– Więc uważaj bardziej, Cassandro.

Zaskoczona jego kolejną zmianą nastroju kiwam głową, a potem szybko zbiegam po schodach.